

# Kronika tygodniowa.

I dała drapaka, gdzie pieprz wcale nie rośnie, to jest do Lwowa, nawiedzając po drodze i inne miasta Galilei, a panu fizykowi spadł z serca kamień, który magistrat kazał potłuc i użyć go na wyszutrowanie dróg podmiejskich, tu i ówdzie bardzo już zniszczonych.

Zegnamy ją bez bólu serca, życząc szczęśliwej drogi i prosząc, by o nas raczyła już na zawsze zapomnieć, choć jej tu było i dobrze i wygodnie.

Każdy z P. T. Czytelników domyślił się zapewne, że kroukę rozpoczynam od czerwouki, tak, jak poprzednią na niej zakończyłem, zadowolony, że mnie pominęła, choć zdawało mi się już, że zaczynam zbyt „różowo” zapatrywać się na ten doczesny żywot.

Lwów przyjął ją z niezbyt wielką radością, szczególnie zaś tamtejszy fizykat rad byłby bardzo, gdyby się mógł pozbyć nieproszonego gościa. Słuszności jednak stało się zadość. Miał z nią kłopoty krakowski pan fizyk, niechaj je ma i jego lwowski kolega, chyba, że weźmie się do niej tak energicznie jak lwowski cudotwórca, jak to uczynił w Krakowie były kelner z Hotelu Europejskiego, który powinien zostać za ten czyn prawdziwie obywatelski podany do nagrody Nobla z zakresu medycyny.

Na „ewakuację” czerwouki narzekają tylko przedsiębiorcy pogrzebowi, mający obecnie mniej „roboty”, a nie mogący się doczekać taryfy maksymalnej, dotyczącej ich „przyjemnego” zajęcia.

Ale niech się nie martwią!... Czerwonkę dyabli wzięli, nie brak przecież i innych epidemii. Dla rozmaitości może przyjść kolej na tyfus, cholera lub coś podobnego, w miarę bowiem rozwoju sztuki lekarskiej mnożą się i rozmaite choroby, niczem grzyby po deszczu, a w obecnych warunkach znajdują wszędzie bardzo odpowiednie podłoże dla swego rozwoju.

Coraz mniej natomiast słychać o tak modnej dawniej ślepej kiszce. Czemu to przypisać, rozwojowi okulistyki „wewnętrznej”, czy też ciężkim czasem, tego nie wiem. Zdaje mi się przecież, że ta druga przychyna wchodzi tu w grę. Ludzkość upamiętała się i nie hołduje w tej mierze obżarstwu, jak to bywało dawniej, gdy wszelkiego „papu” mieliśmy podostatkim, ergo i dyeta wojenna ma swoje dobre strony, a któż ma je podnieść, jak nie kronikarz. Ślepej kiszce otwarły się oczy, przyszła do przekonania, że może usunąć się na bok, gdy rodzaj ludzki trapi tyle innych przypadłości.

Ze zaś zdrowie jest bardzo cenną rzeczą, tego dowód mamy choćby w tem, iż nawet ministerstwo skarbu, które dotąd nic z higieną nie miało wspólnego, zajęło się sprawą różnych surogatów, mających nam zastąpić tak przez wszystkich pożądany dziś tytoń i zakazało sprzedawania w trafikach różnych domieszek, choć panowie trafikanci, troskliwi nie tyle o zdrowie ogółu, ile o dobro swej własnej kieszeni, przewidując zbliżanie się tytoniowej „czarnej godziny”, zaczęli je powoli magazynować.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności (jest to pod pewnym względem zdradzeniem tajemnicy urzędowej...), co może nam w danym wypadku zastąpić tytoń. Należą tu więc: macierzanka, mięta pieprzowa, krwawnik, podbiał, burak, babka, wiśnia, czereśnia, brzoza, tarnina, przede wszystkim zaś orzech. Według opinii znawców, mogłyby wszystkie te surogaty być używanymi bez szkody dla zdrowia tylko wówczas, jeśli stanowią bardzo małą domieszkę do prawdziwego tytoniu, w przeciwnym bowiem razie są przyczyną różnych chorób, zwłaszcza zaś wonna macierzanka, która powoduje nawet bardzo poważne zaburzenia systemu nerwowego.

Muszą być jednak i takie surogaty tytoniowe, które zdrowiu nie szkodzą, wiemy bowiem dobrze, że zarząd monopolu tytoniowego wydaje nam obecnie tytonie wojenne, jak sam ogłosił, z czemś mieszanym, ale z czem, o tem nikt nie wie. To pozostało taką samą tajemnicą, jak kwestya, z czego się dziś wyrabia n. p. kielbasy. W każdym razie musi to być jakaś roślina, wyżej nie wymieniona (może buk, kasztan, kapusta?... przyp. zecera), skoro ministerstwo skarbu, ze względu na zdrowie ogółu, nie przestrzega przed używaniem urzędowych fabrykatów, o które tak dziś trudno się doprosić w każdej trafice.

Jak zaś pięknie rozwija się pokątny handel wyrobami tytoniowymi, to widzimy choćby z tego, iż n. p. cygaro „portoriko” (cena dwanaście halerzy) płaci się „przez grzeczność” tylko... sześćdziesiąt halerzy, a „kuba”... koronę!

Powadają ludzie, gdy się palacze na te stosunki skarżą, że sami konsumenci są winni temu, bo nie powinni tyle płacić, ale proszę mi powiedzieć, co ma począć taki pan, który przy pracy musi sobie koniecz-

nie puścić choć kilka dymków, nieraz nie bardzo wronych. O paniach nie mówię, jestem bowiem przeciwnikiem zdeklarowanym kobiet-palaczek, godząc się natomiast na używanie przez pleć nadobną w późniejszym wieku tabaczk. Ba, ale i tabaczki dziś brak, a jeśli się ją przypadkowo otrzyma, to jakoś pozostawia bardzo wiele do życzenia. Za drogie pieniądze niejedna staruszka nawet sobie kichnąć porządnie nie może!

Z tego wszystkiego wynika, że ministerstwo skarbu ma może rację, twierdząc, że jakoś tytoniu wpływa na zdrowie ludzkie, ja zaś dodam od siebie, że i ilość jego ma też pewien wpływ. Znam pewnego jegomościa, który nabawił się rozdrażnienia nerwowego w bardzo wysokim stopniu tylko dzięki temu, iż stał w „ogonku tytoniowym” przez kilka godzin, odszedł z kwitkiem, a potem musiał sobie kupić „z boku” jedno kuba za koronę.

Należałoby więc, by odnośne czynniki, do których to należy, postarały się o to, aby w trafikach znalazło się więcej tytoniu „urzędowego”, więc bez owych szkodliwych dla zdrowia domieszek, a nadto, by rozdział jego był należycie kontrolowany. Są trafiki, zwłaszcza mniejsze, gdzie w kwadrans po nadejściu „fasunku”, już rzekomo nic niema, gdy tymczasem ludzie opowiadają sobie na ucho, iż wieczorem cały worek wyniesiono, ale dokąd, tego nikt nie wie.

Doszło już do tego, że, jak niegdyś Ezaw sprzedał swe prawo pierworodztwa Jakóbowi za miskę soczewicy, dziś każdy uczyniłby to z przyjemnością nawet nie za paczusię dawnej „trzynastki”, ale za marnego i do niedawna w takiej pogardzie będącego „cienkiego”. Choć i soczewica to dzisiaj rarytas, pojawiający się tylko na stołach wielkich panów i owych „nowych ludzi”, co to fortuny porobili dopiero teraz, w wojennym czacie i nie mogą darować papieżowi Benedyktowi, iż, propagując pokój, naraża na szwank ich interesy.

Co do mnie, to ja, jako skromny człek, palę sobie czasem fajeczkę, o ile, *nota-bene*, dzięki dobrym ludziom, nie mając czasu na wystawianie w ogonku, rozporządzam tytoniem. Ale przyznać muszę, że ten tytoń to wcale nie pachnie i nieraz też przychodzi na tem tle do nieporozumienia. Kiedyś twierdzono w Redakcyi, że z pewnością sadze zapaliły się w komini, onegdaj utrzymywał ktoś, że czuć zapach przypiekanego na wolnym ogniu kalosza, dziś ja sam byłem przekonany, że gdzieś tli się jakaś szmata, w rezultacie przecież pokazało się, że ta rozmaitość zapachów rozchodzi się z mej fajeczki, która, choć mała, tyle może smrodu narobić.

Sytuacja, wytworzona wojną, na każdym więc kroku, jak z powyższych wywodów widzą Czytelnicy, odbijać się może i musi na zdrowiu obywateli, wywołując różne słabości, znane już i opisane w podręcznikach lekarskich. Powoduje ona jednak, zwłaszcza w niektórych ważniejszych wypadkach i nowe, dotychczas nieznanne przypadłości, nazwijmy je politycznymi. Do nich należą w pierwszym rzędzie przypadłości gastryczne na tle politycznym, słabość, mająca to do siebie, iż na nią zapadają tylko osobistości bardzo wysoko położone i to wtedy, kiedy uważają za stosowne, że należy zachorować. Przebieg jest zazwyczaj łagodny, procent śmiertelności równa się zeru, a wyzdrowienie następuje z zasady z chwilą wyjaśnienia się sytuacji. W fizykacie miejskim zgłoszono w ostatnich czasach jeden jedyny wypadek zaślabiniecia na tem tle, zarządzono też wszystko, by się chorobsko nie rozszerzyło i nie przybrało charakteru epidemii. Obawy były przedwczesne, szary tłum, jak się już rzekło, jest w tym kierunku odporny i ów *bacillus politicus* stale go też, widocznie wiedząc o tem, łaskawie omija.

W tem miejscu nadarza się bardzo piękna sposobność do zwrócenia się na polityczne tory i poświęcenia słów kilku Kolu Polskiemu, które ma ogromną ochotę rozlecieć się w kawałki i zamienić na cały szereg małych kólek i kóleczek, każde naturalnie ze swym środkiem, to jest prezesem, wiceprezesem i t. d., co wpłynąć musi bardzo dodatnio na zwiększenie się liczby naszych dygnitarzy nad Dunajem. Trzeba jednak politykom naszym przypomnieć ową bajeczkę o ojcu umierającym i patykach. Gdy ich była cała wiązka, żaden ze synów, choć chłopcy byli na schwał, niezem Cyganiewicz, nie potrafił jej złamać, skoro ją zaś rozdzielono, konający starowina, choć ledwo już ruszał rękami, połamał je, jeden po drugim, bez trudu.

Nasi panowie „Kolarze” i ci, co stoją poza Kołem, powinni o tem pamiętać, zwłaszcza teraz, gdy jedność bardziej nam potrzebna, niż kiedykolwiek, gdy na ciało nasze dybią wilki (poseł Wolf), nad zatraceniem zaś duszy pracuje dyabeł (poseł Teufel) i jego komilitoni.

A takich przyjaciół mamy więcej. Podobnie, jak i innym Słowianom, i nam oni dają się bardzo często we znaki, a działalność ich będzie tem bardziej ułatwioną, jeżeli my sami zaczniemy się kłócić i wadzić

między sobą, spuszczając z oka to, co się obok dzieje. Na wilka owego jest jednak rada, można go oblaśkawić cukrem, na dyabła radziłbym użyć egzorcyzmów, posługując się przy tem kropidłem, o ile możliwości jak największe i obróconem, jak to mówią, „starszym końcem” w jego stronę. Obejdzie się wtedy i bez wody święconej, samo kropidło wystarczy, ale musi być przedwojenne, to jest, sporządzone z należytego materiału. Egzorcysta musi też mieć silną rękę i wyrobione mięśnie, by mógł osiągnąć pożądany skutek.

Ataki panów Wolfa i Teufela w wiedeńskim parlamencie, skierowane tym razem nie przeciw nam, ale głównie Czechom, miały miejsce na posiedzeniu podczas debaty budżetowej. Obecnie przedstawiciele ludów monarchii radzą nad budżetem i przy tej sposobności dowiedzieli się z ust ministra skarbu, barona Wimmera, że jest źle i to bardzo źle. Zamiast treści jego przemówienia podam tylko tytuł artykułu jednego z pism i drobne tytułiki, a każdy niech sobie resztę sam dośpiewa.

Tytuł ów brzmi: „Co nas czeka?... drobne zaś tytułiki są następujące: „Długi i nowe ciężary. Zwrotne cyfry kosztów wojennych. Redukcja majątku. Nowe podatki pośrednie. Prowizoryum gospodarczo finansowe. W poszukiwaniu nowych źródeł dochodu”.

To suche wyliczenie samo już za siebie mówi, dać zaś mogą od siebie tylko tyle, iż dług wojenny doszedł już czterdziestu przeszło miliardów, redukcja zaś majątku wszelkich posiadających coś jednostek obliczoną jest na trzydzieści procent ich stanu posiadania, a objąć ma wszystkich, by nikt nie mógł narzekać, że go pominęto.

Najsympatyczniejszym jest zakończenie, to jest ów tytułik, który powiada: „W poszukiwaniu nowych źródeł dochodu”.

Czytając to, lub słysząc, każdy mimowoli łapie się za kieszeń, gdyż wie, do czego to zmierza. Mają być więc w pierwszej linii podwyższone taryfy kolejowe i wszelkie należitości państwowe, przyjdą nadto nowe podatki pośrednie, przede wszystkim więc od tego, bez czego nikt się obejść nie może, to jest w pierwszym rzędzie od środków żywności. Dlaczego jednak autor artykułu do środków „żywności” zaliczył węgiel (na wino i cukier się zgadzam!), tego sobie wytłumaczyć nie umiem. Tak źle przecież jeszcze nie jest z nami, byśmy potrzebowali aż jeść... węgle, które, według ogólnej opinii znawców, nie są ani zbyt pożywne, a tem bardziej strawne.

Ale trudno, iuaczej być nie może! Szkoda tylko, że przed rozpoczęciem wojny nie przypomnieli sobie panowie politycy owego mądrego zdania, iż do jej prowadzenia potrzeba przede wszystkim trzech rzeczy, to jest pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

To więc, co nas czeka, jak z mowy pana ministra skarbu wynika, nie będzie wcale przyjemnym i z wielką przyjemnością złamałbym w tem miejscu na znak rozpacz swe kronikarskie pióro, gdyby nie to, że szpalty trzeba koniecznie dokończyć, by nie świeciła białą plamą, choć i to się zdarza, że nawet kronika zapada czasem na „tyfus plamisty”.

Co ma być, to się już odwrócić nie da, nie należy przecież tracić otuchy i „mimo przeciwności, nie upadać na duchu”, jak powiada pan fizyk w dziesiątem z przykazań, wydanych swojego czasu przez siebie i ogłoszonych drukiem, a rozlepionych nawet w wozach tramwajowych dla pocieszenia jadących, zwłaszcza na wąskotorowych liniach miejskiej kolei elektrycznej.

To przecież wszystko głupstwo w porównaniu z ową świeczką, ważącą jedną szesnastą część kilograma, a mającą nam odtąd wystarczyć na cały miesiąc. Łamałem sobie nad tem głowę, jak ten problem rozwiązać i doszedłem do przekonania, iż nie powinno się jej wcale świecić. Tak powinni uczynić i P. T. Czytelnicy, a wyjdą na tem dobrze, przebywanie bowiem w ciemności ma, według zdania poważnych lekarskich, wpływać bardzo dodatnio, zwłaszcza na wzrok. Zresztą tak być musi, bo takie jest rozporządzenie, więc niema co nad tem dyskutować.

Lepiej zająć się czem innem, bo tematów nie brak, brak natomiast miejsca, wobec czego to i owo i całą resztę odkładam na następny tydzień, polecając się miłej pamięci i sympatycznym wspomnieniom P. T. Czytelników, tak tych, którzy już prenumeratę zapłacili jak i tych, którzy to dopiero zamierzają uczynić...

**Największa sensacja!**



**Najnowsza tajemnica toaletowa!**

przeciw zmarszczkom, fałdom i tym podobnym nieczystościom skóry.

**Jedyny, prawdziwy, pewny skutek.**

Tylko jedno wydanie! Odpowiedzi za zwrotem porta.

**Instytut „Aphrodysia”. Wiedeń VII. Neustiftgasse 54, Oddział 6.**